

**W postawie Gilowskiej widać stosunek Polaków do PRL, do jej urzędników, milicjantów, sekretarzy. Była niechciana, chwilami nienawidzona, ale jednak nasza. Dlaczego więc nie poplotkować z sąsiadem milicjantem?**

### **PRL to też Polska**

Nie wierzyłem, że Zyta Gilowska była współpracownicą SB. Nie wierzę też w spiski, szantaże i prowokacje dawnych czy dzisiejszych służb ani w złe intencje rzecznika interesu publicznego wobec niej. Niepotrzebnie pani Zyta o tym opowiadała. Od początku przypuszczałem, że rozmawiała z przyjaciółką w obecności jej męża lub nawet bez niego, nieświadoma, że to, co towarzysko powie, zostanie zamienione na raporty TW "Beaty". Kiedy za Polski Ludowej bezpieka przesłuchiwała mnie jako świadka, wiedziałem, że może nastąpić, jak mawiał Szpotański, "cudowne przemienienie świadka w podejrzanego", więc uważałem. Gilowską ugodziło "cudowne przemienienie plotki w donos". Wynikają z jej przypadku dwa wnioski.

#### **Archiwa to brudne źródło**

Pierwszy, oczywisty od dawna, nie trafia do głów przejętych lustracją: materiałów SB nie wolno uważać za krynicę prawdy. Fakt, najprawdopodobniej prawdziwy, zarejestrowania Zyty Gilowskiej bez jej wiedzy jako TW, jest bowiem dotąd najbardziej spektakularnym potwierdzeniem, jak bardzo bezpieczniejsze archiwa mogą i mijają się z prawdą. Nie znaczy to, że archiw zawierają same fałszywe, a bezpieka to były zbiurokratyzowane ciamagi.

Archiwa są oczywiście ważnym źródłem do wzbogacenia wiedzy o Polsce Ludowej. Ale nie jest to jeszcze wiedza, tylko źródło jedno z wielu, i to źródło skażone, wymaga więc wielkiej podejrzliwości metodologicznej przy jego badaniu.

"Lustratorzy" powtarzają argument, że prawda jest w archiwach. To naiwność albo zła wola. W archiwach jest mieszanina prawdy i nieprawdy, tak spleciona, że trzeba wielkiego wysiłku, aby oddzielić jedno od drugiego.

Argument, że SB nie miała interesu, by siebie oszukiwać, jest nic nie wart. SB jako instytucja interesu nie miała, ale instytucja nie pisała raportów i nie zakładała teczek, robili to funkcjonariusze, a oni mieli wielki interes, by w oczach zwierzchników być Bondami, a nie ofermami.

Komunizm jako system scentralizowany i hierarchiczny wytwarzał ogromną ilość fałszywej informacji krążącej wewnątrz wszystkich jego struktur; gospodarczych i innych.

Wiem to doskonale, bo w latach 70. zajmowałem się naukowo zjawiskiem oszukiwania władz zwierzchnich w ówczesnej hierarchii gospodarczej, tak zwanymi gramami przetargowymi. Sporo na ten temat opublikowałem, także na Zachodzie, za co mnie wylali z roboty. Dyrekcje przedsiębiorstw oszukiwały dyrekcje zjednoczeń (grup, w które były połączone przedsiębiorstwa), a te z kolei nadrzędne ministerstwa, by dostać takie zadania i takie środki, które pozwolą wykonać plan, bo od tego zależały oceny i nagrody, często kariera. Był to mechanizm powszechny, systemowy, działał także w PZPR, nie mógł nie działać w SB. Działał i mnożył fałsze w raportach oraz lipnych współpracowników, takich jak Gilowska czy moim zdaniem również Małgorzata Niezabitowska.

Słaby jest też argument, że w SB był system kontroli funkcjonariuszy prowadzących tajnych współpracowników. W systemie gospodarczym, który badałem, przewidziano liczne mechanizmy kontroli, a oszustwom informacyjnym nie zapobiegały. Także zeznający w procesie esbecy mówili, że nie było łatwo kontroli z zewnątrz wykryć fikcyjną rejestrację.

Dlatego samo opublikowanie materiałów bezpieki, co przewiduje ustawa przegłosowana przez PiS i koalicjantów, ale niestety także przez PO i PSL, nie pokaże prawdy, lecz mieszaną prawdę i fałszu, nie wskazując, które fragmenty są czym. Ten, czyje "złe zasoby archiwalne" zostaną ujawnione, poniesie natychmiast śmierć cywilną. A potem przed "wielkim IPN-owskim bratem" będzie musiał udowodnić, że jest niewinny. I nie na wiele mu się to zda, bo opinia publiczna uznaje tylko swój własny werdykt, chętnie podążający za sądowym, kiedy ten skazuje, i niechętnie, gdy uniewinnia.

### **PRL była nasza**

Drugi wniosek ze sprawy, a dokładnie z ówczesnego zachowania Zyty Gilowskiej, dotyka problemu ważniejszego: tego, jak ogromna większość Polaków odbierała Polskę Ludową. Otwarcie archiwów, zwłaszcza bezpieki, może powiększyć wiedzę o PRL, ale może też jej obraz zafałszować, jeżeli tym materiałom i temu wymiarowi tamtej rzeczywistości nada się jakieś szczególne znaczenie. A tak się dzieje, trochę przez fascynację tym, co dotąd skrzętnie ukrywano, ale głównie przez uleganie złym emocjom w stosunku do PRL. Są one zrozumiałe, ale nie mają prawa rządzić badaczem, naukowcem czy nawet dziennikarzem.

Dziś Polskę Ludową odkrywa się i zarazem zafałszowuje. PRL zaczyna być przedstawiana jako czas okupacji, terroru, prześladowań i jednego wielkiego nieszczęścia. A poza tym nic. Ewentualnie dzielny opór narodu, dzięki któremu komunizm upadł w całej Europie, czego ona, niestety, nie pojmuje. To jest fałsz.

System PRL był okropny, wiedzieliśmy, że nie żyjemy w takiej Polsce, jaką byśmy sami urządzili, ale jednak w Polsce, w państwie polskim. Od strony systemu było ono takie samo przez 45 lat, ale od strony rzeczywistości bardzo różne;

terrorystyczne na początku, bardziej tolerancyjne później, a na końcu zdechłe. Język był polski, administracja polska, oświata polska. Legalnie, nie na kompletach, kształciły się setki tysięcy fachowców, nie w podziemiu, lecz legalnie powstały dzieła kultury; filmy, książki, rzeźby, wielka muzyka, piosenki, odkrycia naukowe. Powstawały i były publikowane, przecież za zgodą cenzury. I były czytane, oglądane, słuchane i kochane, nawet tak "kolaboranckie" dzieła jak "Stawka większa niż życie" czy "Czterej pancerni i pies" ostatnio zakazane w telewizji publicznej. A kochane do dziś, także przez moje dzieci, a i ja je chętnie oglądam. "Bolek i Lolek", "Miś Kolargol" czy trochę zapomniana "Gąska Balbinka" też były kolaboranckie, bo z pieczęcią cenzury.

To była Polska, a nie Generalna Gubernia pod sowiecką okupacją. Gilowska poza drobnym epizodem z roku 1968 nie miała nic wspólnego z opozycją, należała do tych 99,9 proc. narodu, który żył, trwał, kłął na czerwonych, czasami się buntował, ale to nie miało nic wspólnego z emocjami narodu okupowanego, żyjącego w nieustannej trwodze przed represją i w cierpieniu z powodu utraty niepodległości.

Dlaczego więc Gilowska nie miałaoby poplotkować z koleżanką i jej mężem o tym, co było podczas wyjazdu zagranicznego? Że pracował w milicji? Co z tego? Że zajmował się, jak jej miał powiedzieć, kontrwywiadem gospodarczym? To przecież pozytywne. Pewno gdyby wiedziała, że jest esbekiem, byłaby ostrożniejsza, bo wszyscy wiedzieli, że akurat z tymi trzeba uważać. Ale milicjant, a choćby i w kontrwywiadzie gospodarczym? Zawód prawie jak każdy i jeszcze mąż przyjaciółki?

W postawie Gilowskiej widać w zbliżeniu powszechny stosunek Polaków do PRL, do jej urzędników, milicjantów, sekretarzy. Była niechciana, chwilami nienawidzona, ale jednak nasza, bo nie było nadziei na inną, ale i dlatego że nawet jeżeli nie dawała się lubić, to dawała się być naszą, szczególnie od 1956 r. I powinna zostać naszą.

Trzeba obnażyć wszystkie jej podłe strony, ale nie powinniśmy jej fałszować. Tym, którzy mają na to ochotę i już to robią, radzę dla odtrucia kupić tanie kompakty z polską piosenką lat 50., 60., 70., 80. Będą ich dziesiątki, może setki. Śpiewano je przecież legalnie, na estradach, w radiu, telewizji. Czy to są piosenki kraju okupowanego i terroryzowanego przez SB?

**("Gazeta Wyborcza" - 12.08.06 r.)**